



Mirosław Derecki
LEPIEJ BAWIĆ NIŻ SMUCIĆ
ROZMOWA Z TYTUSEM WILSKIM

- W końcu marca obchodziłeś pięćdziesięciolecie pracy artystycznej, W jaki sposób uzbierało się tyle lat, skoro ty jesteś wciąż taki młody...?!

- Bo ja „wczesnie zacząłem”. A stało się to, gdy liczyłem lat siedemnaście, w sezonie teatralnym 1937-1938, w moim rodzinnym Poznaniu, na scenie teatru lalkowego „Błękitny Pajac”. Dyrektorował „Błękitnemu Pajacowi” Stefan Polonyi-Poloński, kierownikiem literackim był Jan Sztudynger. Nazwa teatru wzięła się stąd, że stałym bohaterem wszystkich granych tam sztuk była postać zwana Błękitnym Pajacem. Graliśmy głównie pacynkami, małymi lalkami nakładanymi na trzy palce dłoni aktora-animatora; teatr mieścił się w poznańskim Pasażu Apollo, już w następnym sezonie trafiłem do teatru „żywego planu”. Był to poznański Teatr Peryferyjny, prowadzony przez dyrektora Rosińskiego. Tam właśnie debiutowałem w komediach i farsach. A na Scenie Letniej owego teatru zadebiutowałem wkrótce potem także w operetce. Była nią „Nitouche”, a mnie powierzono jedną z głównych ról, amanta, Ferdynanda de Champlatreux. Po tej roli posypały się propozycje z innych teatrów; oczywiście wybrałem najintratniejszą. I wtedy... wybuchła wojna, do Poznania wkroczyli Niemcy.

- Ale pozostaniemy jeszcze na chwile w czasach pokoju. Mówisz, że debiutowałeś w 1937 roku. A ja słyszałem, że już jako pięcioletnie złotowłose pachole wzbudzałeś szal na widowni! Więc jak to właściwie było naprawdę?

- Ach, to były języku teatru amatorskiego... istotnie, kiedy miałem pięć lat, „zadebiutowałem” na scenie teatru TUR - Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych - działającego przy Polskiej Partii Socjalistycznej. Sztuka nosiła tytuł „Śmierć Emilia Plater”; występowałem tam, jako chłopiec, który rozmawia z naszą bohaterką narodową tuż przed jej śmiercią i na życzenie umierającej „kobiety-pułkownika” gra rzewny utwór na skrzypcach...

- Już wtedy umiałeś grać na skrzypcach?

- Umiałem. I właśnie ta umiejętność była głównym powodem, dla którego „obsadzono” mnie w tej roli. Na premierze mój występ tak się podobał publiczności, że zostałem

nagrodzony brawami. A ja wówczas, jako „znający się na rzeczy”, obiecujący „wirtuoz”, podszedłem na sam front sceny, złożyłem widowni poważny, głęboki ukłon. Wywołało to ogólną radość oraz prawdziwą burzę oklasków. W ten sposób „załatwiłem” końcówkę przedstawienia na amen, bo główna bohaterka musiała odegrać wzruszającą scenę śmierci... żyłem do widowni, jako że dusiła się ze śmiechu. A z nią cała reszta zespołu! Nie było to zresztą jedyne w mojej karierze „rozłożenie” przedstawienia. „Udało” mi się to również, w trzydzieści lat później, w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie, gdy grałem pierwszoplanową rolę niedobrego Cygana - porywacza małej dziewczynki w sztuce „Czerwone pantofelki”. Ponieważ znałem kilka tricków iluzjonistycznych, dorobiłem do tej sztuki swoisty prolog, była to zabawa z dziecięcą widownią, w czasie, której prezentowałem różne sztuczki. Otóż właśnie dzięki owemu prologowi widownia tak mnie polubiła, że gdy potem w trakcie przedstawienia doszło do momentu, gdy trzeba niecnego Cygana ukarać, dzieci stanowczo zaprotestowały, wdzierając się aż na scenę. Długo musiałem im tłumaczyć, już nie jako Cygan, ale kryjący się pod jego postacią Tytus Wilski, że przecież zło musi być przykładowo ukarane.

- A skąd w ogóle wzięło się twoje zainteresowanie teatrem? Nie wolałeś zostać skrzypkiem-wirtuozem?

- Widzisz, uczono mnie wprawdzie gry na skrzypcach, ale tak naprawdę, to moja mama marzyła, żebym został księdzem. Nie z racji zasady, że „kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie”, ale duchownym żyjącym w przykładowym ubóstwie, czyniącym dobro i miłosierdzie. Nie muszę cię chyba przekonywać, że ta rola absolutnie mi nie odpowiadała. Tymczasem mama mówiła: „Ucz się synku, bo jak się uczył nie będziesz, to nie księdzem, ale złodziejem, albo co nie daj Boże, jakimś artystą zostaniesz?”. Mamusi nie posłuchałem i potem przez całe życie musiałem się w pocie czoła uczyć ról scenicznych. Nie bez wpływu na moją drogę życiową pozostała walka moich dwóch wujków o „rząd dusz”: jeden wuj był endekiem, drugi socjalistą, a obydwoj postanowili wyprowadzić mnie „na ludzi”. Wujek-socjalista proponował bardziej atrakcyjny program: kochał on muzykę, teatr, poezję i ja się tym od niego zaraziłem. W konsekwencji on zwyciężył w rodzinnej rozgrywce, a ja trafiłem do teatru. Wprawdzie początkowo nie na długo.

- Bo, jak wspominałeś, Niemcy wkroczyli do Poznania?

- Już 4 grudnia 1939 r. zostałem aresztowany i jednym z pierwszych transportów wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. Pracowałem w cukrowni w Prenzau na Pomorzu. Najpierw, jako tragarz worków z cukrem do wagonów kolejowych. Potem - jakby na samym dnie piekła - wynosiłem spod rusztu wielkiego paleniska kotłów cukrowniczych rozżarzony popiół i żużel. Ale los szykował mi jeszcze cięższą dolę. Otóż przypomniało sobie

o mnie poznańskie gestapo. Jako syn powstańca wielkopolskiego oraz członek pepesowskiego TUR-u, powinienem był, według hitlerowców, trafić do całkiem innego obozu niż ten, w którym przebywałem...

- I co?

- Uratowałem się w ostatniej chwili dzięki robotnikom czeskim, którzy ze mną pracowali. Podsluchali oni rozmowę w naszej dyrekcji, że mam być aresztowany. Niewiele myśląc, prysnąłem w kierunku Berlina, bo w tłoku zgubić się najłatwiej, i wtedy wydarzyła się kolejna przygoda z Czechami. W Eberswalde natknąłem się przypadkowo na wielką grupę mych Czechów, przywiezionych tutaj transportem kolejowym do pracy w zakładach „Herman Goering Werke”. Byli w niemałym kłopotcie, bo w Dreźnie uciekł z transportu jeden z ich kolegów i obawiali się, że Niemcy nie puszczą tego płazem. Wobec tego postanowiłem im pomóc: z dnia na dzień zostałem Czechem. Nazywałem się odtąd, jak ów uciekinier, Jaroslav Rocek, urodzony w Brnie. Po czesku mówić umiałem, bo poduczyłem się tego języka podczas pracy w cukrowni w Prenzlau.

- Miałeś ów przysłowiowy łut szczęścia.

- A nawet kilka łutów. Bo również moje dwie następne wpadki i następne dwie ucieczki skończyły się szczęśliwie. I dzięki temu możemy sobie dzisiaj rozmawiać.

- Nigdy nie myślałeś o napisaniu wspomnień?

- Czasem zastanawiam się, że gdybym istotnie, zabrał się do spisywania tego wszystkiego, co w tamtych latach przeżyłem, wydałoby się to czytelnikowi niewiarygodne. Są chwile, że samemu nie chce mi się wierzyć, że tak właśnie było.

- A przecież zaraz po wojnie zacząłeś się parać pisaniem.

- Ale nie dla wspomnienia. Tylko po to, żeby podzielić się z czytelnikami swoimi aktualnymi wrażeniami i spostrzeżeniami. Pisałem też, aby utrwalić w pamięci piękne krajobrazy, które danym mi było oglądać, sylwetki poznanych w wędrówkach po świecie ludzi odnotować ważne wydarzenia polityczne i własne ówczesne refleksje na temat obserwowanych zjawisk. Dzisiaj, kiedy przeglądam moje „Listy z podróży” drukowane zaraz po wojnie w poznańskim „Głosie Wielkopolskim”, gdzie przysyłałem je z Jerozolimy, Kairu, Norymbergi, z Portugalii i Finlandii, i z innych jeszcze miast i krajów, otóż myślę, że dziś jeszcze te zapiski są świeże i żywe.

- Można ci pozazdrościć tylu i takich podróży i wrażeń!

- Wynikały one ze specyfiki tuż powojennego życia wielu Polaków, którzy znaleźni się wówczas na zachodzie Europy, oderwani od stron rodzinnych. Ja na przykład współpracowałem, jako osoba cywilna, z „Kulturą i Prasą” 2 Korpusu Polskiego w Porto San Giorgio we Włoszech. Przedtem, bezpośrednio po wyzwoleniu oflagu „VII a” w Murnau,

zorganizowałem zespół estradowy, w którym występowałem również we Włoszech. Później zaś współorganizowałem pierwsze transporty repatriacyjne polskich oficerów z obozów jenieckich. Właśnie jednym z takich transportów wróciłem do kraju.

- I do teatru?

- Wyobraź sobie, że jeszcze nie. W 1947 r. pasjonowała mnie inna przygoda: zorganizowałem sieć korespondentów i kolporterów prasy na Ziemiach Zachodnich. Jednak coraz mocniej odczuwałem tęsknotę za sceną. Aż w końcu zaangażowałem się do teatralnego zespołu w Szczecinie. Nie tylko zresztą, gratem tam w teatrze, byłem również spikerem i komentatorem w szczecińskiej rozgłośni radiowej.

- Zawsze ciążyłeś ku „lżejszym” formom scenicznym?

- Zawsze bardziej lubiłem ludzi rozśmieszać niż smucić. To wypływa z mojej natury, z mojego spojrzenia na świat, z mojego stosunku do otoczenia. Ja lubię bezpośredni kontakt z publicznością, bez rozdzielającej nas rampy. Stąd moja działalność estradowa. Nie ma w Polsce miejscowości posiadającej salkę choćby na dwieście miejsc, abym tam w ciągu minionych czterdziestu lat nie występował. Kabaret uważam za najwyższą nobilitację w świecie estrady. I nie tylko, dlatego, że Pietrzak awansował, właśnie dzięki kabaretowi, niemal do miana współczesnego naszego wieszczka narodowego.

- Właśnie. Przecież to od kabaretu zaczęła się nasza znajomość. To było w 1961 r., kiedy pojawiłeś się nagle w Lublinie i „reanimowałeś” kabaret „Czart” w kawiarni „Czarcia Łapa” (gdzie zresztą rezyduje on po dziś dzień). Wyreżyserowałeś wówczas czwarty program „Czarta” – „Dwa dni świeciło słońce”. Pamiętam dobrze, bo sam w tym programie występowałem. Jako piosenkarz kabaretowy debiutował w „Dwa dni świeciło słońce” – Piotr Szczepanik.

- Tytuł programu wziął się z życia: wróciłem z deszczowego urlopu nad morzem, gdzie zaledwie przez dwa dni świeciło mi słońce... Tylko zapominasz, że ja już przedtem przez cały sezon pracowałem w Lublinie, sprowadzony z Warszawy z Teatru „Miniatury” Domu Wojska Polskiego przez Barbarę Kostrzewską na gościnne występy w Operetce Lubelskiej. I równocześnie przez cały ów sezon prowadziłem w kawiarni „Czarcia Łapa” imprezę „Lubelskie podwieczorki przy mikrofonie”. Pierwsza recenzja - pióra Wiery Korneluk z tych wieczorków, opublikowana na łamach „Sztandaru Ludu”, nosiła znamieny tytuł: „I chociaż Czarta żal”... Ulegając presji tak zwanej opinii publicznej, wznowiłem „Czarta”. I „Czart” żyje do dziś. Każdy przygotowywany przeze mnie program w tym kabarecie, a było ich wiele, był nie tylko wynikiem mojej pasji kabaretowej, ale także wyrazem mojego osobistego stosunku do podejmowanych na owej scenie tematów i spraw nurtujących społeczeństwo, nie tylko lubelskie.

- No, ale przede wszystkim pracowałeś zawodowo na scenach lubelskich, upamiętniając się wieloma kreacjami aktorskimi. Że wymienię choćby Boniego w „Księżniczce czardasza”, księcia Gigi w „Zemście nietoperza” w Lubelskim Teatrze Muzycznym, a na scenie Teatru im. Osterwy m. in. Rolę Pana Młodego w „Weselu” Wyspiańskiego.

- Przez całe dorosłe życie byłem przede wszystkim aktorem. (Choć trudniłem się także reżyserią, a nawet robiłem scenografie). Z biegiem lat coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, że wszelka działalność artystyczna jest nie tylko przyjemnością, ale także posłannictwem. Że niezależnie od tego, jaką formę teatru się uprawia, scena ma wychowywać społeczeństwo pod względem estetycznym i również etycznym...

- Oho, zaczynamy rozmawiać o rzeczach nader istotnych i bardzo poważnych...

- Tak. Ale ja dobrze pamiętam, że teatr to nie same tylko „koturny”! To - życie. W tym życiu teatru zdarzają się sprawy wielkie, ale także, na scenie, takie sytuacje, o jakich się ani filozofom, ani dramaturgom nie śniło. Pamiętam na przykład, że grając przedstawienie „Krzysztofie nie szalej” w Radzynie, zgodnie z intencją autora zapalałem w zdenerwowaniu papierosa. Aliści w tym momencie wkroczył na scenę dyżurny strażak i uprzejmie zwrócił mi uwagę, że w teatrze PALIĆ NIE WOLNO! Cóż było robić: przeprosiłem go i papierosa zgasilem! Ze strażakami bywają, nawiasem mówiąc, w teatrze różne perypetie. W szczecińskim przedstawieniu „Jadzi wdowy” w 1949 r., w którym grałem pana domu, zdarzył się taki oto przypadek. W jednej ze scen Feliks woła: „Pali się!!!” Na to ja, pan domu, powinienem wpaść i zapytać: „Gdzie?!” Wówczas pada odpowiedź Feliksa: „W dwóch sercach!” Otóż po tej ostatniej kwestii, pełniący dyżur za kulisami strażak wyszedł na scenę, popatrzył na aktora z politowaniem i skomentował do widowni: „IDIOTA!!!” Publiczność oszalała z radości.. To nie koniec: w finale przedstawienia, podczas kłaniania się zespołu, widownia zaczęła skandować: „Strażak, strażak...” Inspicjent wypchnął więc bohatera wydarzenia na scenę. Przywitano go frenetycznymi oklaskami. Później na łamach miejscowej prasy recenzenci jednogłośnie uznali, że najlepszy w przedstawieniu „Jadzi wdowy” był strażak Malinowski.

- A jednak po latach aktorstwa zszedłeś ze sceny. Wróciłeś do pisania, do publicystyki. Skąd ta decyzja?

- No cóż, przyczyniło się do tego moje serce. Po prostu zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Do teatru trzeba „mieć serce”; ale na scenie musi być ono zdrowe! I w tym kalamburze masz prawie wyczerpującą odpowiedź. Aby uniknąć gnuśnienia, które „koroduje” człowieka, odkurzyłem pióro.

- O czym najchętniej piszesz?

- O ludziach mogących stanowić pewne wzorce osobowe. Chciałbym się w ten sposób przeciwstawić otaczającemu nas wszechprymitywowi, wandalizmowi, irracjonalności motywów negatywnego działania człowieka przeciw drugiemu człowiekowi. A więc: sprzężeniu zwrotnemu przeciw samemu sobie. A dzieje się tak i w domu, na co dzień, i w wielkiej polityce. Usiłuję się przeciwstawić łamaniu praw obywatelskich - począwszy od praw dziecka, ludzi słabych i starych. Dlatego chętnie przyjąłem funkcję ławnika ludowego, i to w sądzie do spraw nieletnich i rodziny. Sądzę, bowiem, że nie wystarczy deklarować się werbalnie, trzeba robić coś konkretnego.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 7, s. 4-5.